NR. 13. KRAKÓW, 15 SIERPNIA. ROK 1927 CENA: 60 GR



„BOCIAN"



Ta namiętua, — profil węża
na tę słomkę się sprzysięża
wielkość zdaniem jej upiększa
— Wiwat rurka jak największa...

Więc też rurkę w ustach pieści
puszcza bańki co się zmieś i
Od poranka do wieczora
W nocy też choć późna pora...



SPÓZNIONY PRIMA APRILIS!

Mąż, uczony i stary nad księgami ślęczy...
Słyszy: w ciszy wieczornej coś skomli i jęczy...
Niespokojny, powstaje, bierze do rąk świeę,
słyszy bowiem wyraźnie okrzyki kobiece.

W buduarze na łóżku, choć pora spóźniona
leży obcy mężczyzna, a z nim jego żona.
Suknia znikła z jej ciała, dessous zwisa luźno
jak gdyby beznadziejnie stękając: zapóźno!

„Jakto — mąż się zadziwi – Tyżeśto tak podła?
Tyżeśto mnie tak w pole bezecnie wywiodła?
— Milczy żona wyniośle, milczy gach jej hardo...
Najlepiej jest zmieszanie osłaniać pogardą.

A czy wiesz, że to zdrada — mędrzec ciągnie dalej...
że takiego postępku niebo nie powali?
Że nigdzie, w żadnym kraju, gdzie rządzi moc Boża
nikt prócz męża wleźć nie śmie do żony mej łoża?

A ona mu w te słowa wesoło odrzecze?
„Oj, popukaj się w czoło niemądry człowiecze!
Pocałujże mnie w rączkę za taki ambaras,
żeś mi przerwał żart w środku i przeproś mnie zaraz...

Przypomniało się główce figlarnej kobiety,
że już „prima aprilis“ przeminął niestety...
A więc poszła twa żonka po rozum do głowy;
Jeszcze można by figiel urządzić sierpniowy.

„I dla tego cię taka śmieszna niespodzianka
czekała w twojem łóżku, gdyś tu wpadł ze świecą!“
„Ach rozumiem, przepraszam! Więc nie masz kochan-
[ka!?“.
„Tak mężu! Nie bądź osłem! Szanuj cześć kobiecą.



zdradzone przez

Kazimierza Brzeskiego:

— Siedzący w »Astorji« wice dyrektor warszawskiej dyrekcji dziennikarskiej p. Marjan Odorowski krzyknął zdenerwowany:

— Kelner! Rachunek!... Noga moja więcej nie powstanie w tej przedpotopowej restauracji!

— Dlaczego przedpotopowej? zapytał ugrzeczniony kelner.

— W pieczeni znalazłem włos metrowej długości!... I to mi sie przytrafia w restauracji, na pierwszorzędnej ulicy, w pierwszej połowie dwudziestego wieku kiedy przecież wszystkie kobiety strzygą sobie włosy à la garçome.

* * *

— Do ordynatora szpitala na Czystem dr. Altkamfera przychodzi pewien żyd chory, że się tak wyrazimy skórnie.

— Muszę pana uprzedzić, — mówi lekarz — że moją specjalnością są choroby kobiece.

— Moja choroba właśnie jest kobieca — odpowiada pacjent. — Dostałem ją od mojej żony.

* * *

— Zawsze młodzieńczy p. Wacio (do stu lat) Grubiński spaceruje ze znanym dziennikarzem warszawskim p. Markiem Turkowem.

— W tem Turkor zwraca mu uwagę.

— Patrz, pan tam idzie krytyk Zagórski...

— Ach to niesympatyczny człowiek! zjechał moją »Niewinną grzesznicę«.

— Nie powinieneś się pan z nim liczyć! On niema przecież własnych poglądów...

Jakto?

— On powtarza tylko to, co inni mówią.

* * *

— Wincenty Witos, ostatnio uważał za stosowne nawiązać kontakt z żydowskiemi. W tym celu udał się dyskretnie na posiedzenie żydowskiego klubu i tam się starał usprawiedliwić i wytłómaczyć swe odstępstwo od lewicy, a przystąpienie do stronnictw prawicowych.

— Panowie kochane — rzekł Witos między innemi — nie mogę wam dokumentnie wytłumaczyć, dlaczego tak postąpiłem, ino tela wiem, że mówił mi jakiś głos wewnętrzny, aby tak zrobić...

Na to odzywa się ktoś z kąta:

— Wie, haisst głos wewnętrzny? Czy pan jest brzuchomówiący?

* * *

— Do b. posła na Sejm rabina Perllmutra przyszli dwaj żydzi, żeby ich rozsądził, do kogo należy spory kawałek ziemi, leżący na granicach ich posiadłości.

Spór był długi i tak gorący, że b. poseł stracił wszelką nadzieję doprowadzenia go do pokojowego rezultatu.

Wtedy kazał się zaprowadzić na miejsce, gdzie się znajdował sporny plon, tam przyłożył ucho do ziemi, potem wstał i rzekł poważnie:

— Pytałem się ziemi do kogo ona należy. A ona odpowiedziała, że nie należy do nikogo, przeciwnie — wy obaj należycie do niej.

* * *

— Znany Artysta polski p. Jerzy Truszkowski będąc jeszcze w »Teatrze powszechnym« przywitał raz bardzo groźnie p. Stefana Gazdawę — Wiecheckiego, który przyszedł na generalną próbę swej sztuki.

— Co się stało — przyjacielu? Czy jesteś ze mnie niezadowolony? — pyta go Wiechecki.

— Oczywiście. Wprost nie oczekiwałem od pana takiej podłości! W drugim akcie przy kolacji podają prawdziwego kuraka, a pan zabija mnie w pierwszym akcie!...

* * *

— Antoni Stamiński spotyka pewnego znajomego z lat szkolnych w »Małej ziemiańskiej«

— Co pan porabia p. Słomiński zapytuje znajomy poetę.

— A pisuję...

— Czy naprawdę, a pod jakim pseudominem?...

* * *

— W kuluarach Sejmowych toczyła się rozmowa o nowym kierowniku depertamentu zdrowia. Jeden z posłów wobec ogólnie sceptycznego o nowym kierowniku sądu wziął go żarliwie w obronę.

— Proszę panów — rzecze — ja mam do niego zupełne zaufanie. Leczył moją teściową — umarła. Leczył moją pierwszą żonę — umarła. A teraz posyłam do niego moją drugą żonę.

* * *

— Sprawozdawca »Naszego Przeglądu« p. dr. Leopold Strakun na zlecenie swej redakcji objeżdżał Włochy i przysyłał sprawozdania z tej podróży. Między innemi z Florencji przyszła od niego taka impresja:

— Widziałem więc zgalerji słynną »Wieczerzę Pańską«. — Leonardo w dziele tem wyprzedził o parę set lat współczesnego ducha. Jest to antigno modo rzucona na płótno Table d'hote której brakuje tylko parę kobiet przy stole było by zupełnie modernistycznem.

* * *

— Z powodu opery »Faust« rozmowa w kuluarach Sejmowych schodzi jakoś na Goethego. Obecny przy tem prezes Witos dowiaduje się ze zdumieniem, że Goethe był także ministrem.

— No, no — dziwi się wierzchosławicki epigon kruświckiego Piasta, to on był nietylko ministrem ale jeszcze i umysłowo pracował?

* * *

— Do sławnego rabina warszawskiego p. Gutszechtera przyszedł pewien izraelita.

— Rabi! Pewien żyd przysłał mnie do was, żebym dlań wyprosił pokutę za wielki grzech, który popełnił.

— Co on takiego uczynił — zapytuje rabin,

— On cudzołożył!

Rabin się namyślił poważnie, potem zapytał:

— Dlaczego ten żyd sam nie przyszedł do mnie prosić o pokutę?

— On się wstydził, rabi.

— To przecież mógł przyjść i powiedzieć, że jego ktoś przysłał...

— On właśnie to uczynił, rabi...

* * *

— Właściciel jednego z najelegantszych zakładów fryzjerskich w Warszawie p. Denis pomieścił w oknie wystawowem maski wszystkich ras ludzkich z fryzurami.

Pewna niańka warszawska zatrzymuje się wraz z czteroletnią dziewczynką przed wystawą i obie przypatrują się maskom.

— A na co chińczyk ma warkocz pyta mała swojej niani.

— Jakto nie wiesz. A za coby go baba trzymała, kiedy go bije...

— Uhum — mówi poważnie mała jakby do siebie. Teraz już wiem, dlaczego nasz tatuś jest łysy.

* * *

— Dowiadujemy się z bardzo wiarogodnego źródła, iż Rząd w celu przyjścia z pomocą pracowników Państwowych, obiecał zaopatrzyć ich w szybkim tempie ze względu na zbliżającą się zimę w tytuły. — Odnośny projekt wpłynął już do Rady Ministrów.



Na wystawie.

— Więc szanowna Pani niechce kupić tego pieska?

— No, tak... jabym go wzięła chęinie — ale nie wiem, czy się memu mężowi spodoba...

— No to rozwiedź się pani z mężem! Męża pani może codziennie dostać, ale takiego rzadkiego psa już nigdy!

● ● ●

W sezonie.

— Czy pani na przyszły rok, wynajmnie tę samą willę?

— Nie!...

— Jakto? Więc ta willa się już pani nie podoba?

— Nie, za dużo *balkonu* — a za mało *Romea*...

● ● ●

Na dancigu.

— Powiedział mi proszę mamy, że świat był mu pustynią, nim mnie poznał.

— No. to teraz już pojmuję, dlaczego tańczy jak wielbłąd.

Na willegiaturze.

— Cóż się to stało, że dzisiaj mamy do podwieczorku świeże i ciepłe bułki?

— A, bo prosze pani, mój chłop je przyniósł dzisiok z miasta.

— Jakto? Trzy mile drogi a bułki jeszcze ciepłe?

— Pseprosóm tyz łaski pani, ale mój stary nosi bułki zawdy za pazuchą.... a dzisiak sie troche *spocił*....



STRASZNA NOC.

Zerwała sie nagle od stołu z takim pośpiechem, że przeirzysty jej peniuar rozchylił się na piersiach, odsłaniając najtajniejsze a bogate, nieporównanego powabu wdzięki pięknej kobiety. Oczy jej zaświeciły niekłamanym przestrachem, jej twarzyczka pobladła, przybierając niemal matowobiały kolor koronek, zasłaniających jej piersi.

— Tadeuszu! — zawołała zdławionym głosem.

— Co jest ? — zapytał spokojnie młody człowek, podnosząc do ust filiżankę herbaty.

— Dla objaśnienia dodamy, że rzecz odbywa się po godzinie 12-tej w nocy w buduarze uroczej pani Zosi, która korzystając z dłuższej nieobecności małżonka, zaprosiła swego przyjaciela na *szklankę herbaty*. Pan Tadeusz był przygotowany na gruntowną gościnę u swej kochanki. To też w przyjemnem oczekiwaniu wszystkich konsekwenji takiej herbatki, rozgospodarował się nasz bochater jak u siebie, tak dalece, że nawet smoking zamienił na szlafrok, a lakierki na pantofle męża pani Zosi

— Co jest? — zapytał powtótnie.

— Zostaw herbatę i uciekaj!

— Co? jak? — dlaczego?

— Mój mąż!

— Idź! nie pleć głupstw!

— A ja ci powiadam..

— Mąż twój w Warszawie!

— Mąż mój jest na schodach!... Słyszę jego kroki!...

— Istotnie! zawołał pan Tadeusz niespojnie — ktoś idzie po schodach! Psiakrew, a to pech! — zaklął kochanek, rzucając bezradnie wokół oczyma.

— On ma klucz od mego buduaru. Wejdzie tu natychmiast!..

— Zabarykadujmy drzwi!..

— Mój mąż jest silny jak byk i jednem uderzeniem pięści — —

— O! nie kończ! — jęknął pan Tadeusz —

— Skryj się pod łóżkiem!

— Nie!.. pod łóżkiem za żadną cenę! To byłoby w złym stylu! Ucieknę tylnemi schodami!

— Tu niema tylnych schodów! Idź na balkon, prędko, zanim tu wejdzie! Ale przedewszystkiem zostaw tu szlafrok jego i pantofle!

— Dobrze. idę na balkon! — zawołał pan Tadeusz z determinacją, zrzucając pospiesznie części garderoby męża swej kochanki.

— Nie zapomnij — upominała go pani Zofja — kapelusz twój jest na fotelu.

— A buciki?

— Służąca je wzięła do czyszczenia!

Dziękuję!... więc bez butów na balkon?..

— Ach! on mnie zabije! — jęknęła pani Zofja.

— Biedna moja myszko! Ale..

— Co takiego?

— Już nic nie słyszę!

— Nie słyszysz? Na drugim piętrze zatrzymał się, by odetchnąć, Cierpi na astmę!..

— Na astmę!

— Tak, co mu wcale nie przeszkadza być zazdrosnym jak Otello!

— Naprawdę? Idę już!

Nieszczęśliwy adonis spojrzał przez drzwi balkonu

— Wielkie Nieba! — zawołał rozpaczliwie. — Deszcz pada! Już wiem z góry, że dostanę kataru i umrę!

— Zeskocz na dół i weź dróżkę!

— Co? z III. piętra skakać?

— Tu rozchodzi się o mój honor!

— Ależ ja nie umiem skakać!

— A więc nie skacz! — odrzekła piękna pani z niesmakiem — Czy widzisz te żelazne sztachety na lewo? — Przeleziesz przez nie..

— I cóż z tego, że przelezę?

— Potem zobaczysz okno!

I cóż mi z tego przyjdzie?

— Zapukasz i zawołasz po cichu: „Stefcio!"

— Stefcio?

— Tak, to jest moja najlepsza przyjaciółka. Okna jej sypialni wychodzą na balkon. Powiesz jej, że odemnie przychodzisz! Objaśnisz o wszystkiem, ona cię ukryje!

—A jeżeli przyjaciółka twoja... nie jest sama? — zapytał z niejakiem wachaniem pan Tadeusz.

— Moje przyjaciółki są wszystkie uczciwemi kobietami, tak samo jak i ja! Rozumiesz mój panie?!

* * *

Prędko zrozumiała.



— *Mam do Ciebie interes!...*

— *Na miłość Boską — na taki upał?...*

Dzielny dziadunio.

— Tak moje dzieci, gdy mnie nieprzyjaciel zobaczył, zaczął biedz...

— A czy dziadunia dogonił?

In vino veritas.

Kilku panów po dobrej kolacji, wesoło raczy się szampanem. Doszli już do tego, że otwarcie wynurzają sobie swe najgłębsze tajemnice.

Pańska żona jest cudowną — szepce pan Z. panu K. do ucha — masz pan wszelkie powody pozostania jej wiernym...

— Tak, tak, jestem szczęśliwym małżonkiem i śmiało mogę powtórzyć za poetą: »Mój puchar jest niewielki, ale sam z niego piję!«

— Trąćmy się kochany przyjacielu — odzywa się Z. ironicznie.

ooo

Ręczna robota.

— Ach bój się Boga, cóż ty masz całą twarz tak podrapaną? Cóż to jest?

— Widzisz mój drogi, to jest *ręczna robota* mojej żony.

Pani Zosia zamknęła pospiesznie drzwi od balkonu za kochankiem, wyrzuciła przez okno drugą filiżankę i złotą papierośnicę, której pan Tadeusz zapomniał i usiadłszy przy stole wzięła książkę do ręki. W tej pozycji oczekiwała męża sapiącego na II. piętrze.

Tym czasem Pan Tadeusz bez żakietu i spodni, w cylindrze na głowie, trzymając w ręce lakierki, przelazł szczęśliwie przez żelazne sztachety na lewo i ujrzał upragnione okno, w którem świeciło się jeszcze. Zapukał w nie cicho palcem i zawołał:

— Stefciu!..

Żadnej odpowiedzi... Pa Tadeusz puka po raz drugi.

— Stefciu! pani Stefcio!

Podniesiono storę. W oknie zabłysło coś białego — zapewne nocny peniuar pani Stefci, a potem coś czarnego — zapewne bujne sploty jej włosów, wpośród tego coś małego, różowego - bez kwestji jest to uwielbienia godny jej nosek... Ale stora zapadła z powrotem w oknie.

Pani! pani!... Zosia mnie przysyła!... Okno do pół się otwiera.

— Co? Zosia? — pyta jakiś słodki głosik.

— Posyła mnie..

— A więc wchodź pan prędko!...

Zaledwie jednak postawił spóźniony gość nogę w oknie, gdy Stefcia zawołała z przestrachem:

— Ależ mój panie!.. pan jesteś bez..

Bez tego... To nic nie szkodzi!.. Ja się nie żenuję, niech pani mi wierzy!...

Zaśmiali się oboje i śmiali się dość długo, marnotrawiąc czas na takiem głupstwie jak śmiech, zamiast użyć go na coś praktyczniejszego. Naprzykład pan Tadeusz mógł był włożyć kamizelkę, a pani Zosia szlafroczek.. Ale nie można zawsze o wszystkiem na czas myśleć.

Śmiejąc się wszedł pan Tadeusz tą niezwykłą drogą, śmiejąc się ułatwiła mu pani Stefcia przejście. Gość był zmoknięty i przeziębnięty, co przy niedostatecznym jego kostjumie jest dostatecznie zrozumiałem. W pokoju panowała przyjemna, ciepła atmosfera i pan Tadeusz obiecywał sobie miły wypoczynek w towarzystwie pięknej kobietki. Ale pani Stefcia zawołała nagle:

— Mój panie! Jestem zgubioną!

— Co pani mówi?!

— Mój przyjaciel nadchodzi! Słyszę jego kroki na schodach!

— Ależ nie!...

— Ale tak! powiadam panu, że tak!...

— Bez kwestji — tłómaczył pan Tadeusz — sam słyszę, że ktoś wchodzi, ktoś, kto na drugiem piętrze się zasapał i odpoczywał, ale to jest mąż pani Zosi!

— Nieinaczej! mąż Zosi! — potwierdziła pani Stefcia. Sądziłam, że jest w Warszawie — mówiła piękna pani — a tymczasem on jest na schodach!

— No, dobrze! — odparł zdziwiony pan Tadeusz — ale cóż to pani szkodzi, skoro on idzie do swojej żony!...

— On idzie do mnie!

— No, no, zauważył gość ironicznie — ten pan mi imponuje że pomimo swojej astmy...

— Ach! i mnie on imponuje także! — zawołała pani Stefcia z entuzjazmem. Ma klucz od mego mieszkania i w tej chwili tu wejdzie! Uciekaj pan!...

— Uciekać na balkon? Deszcz leje jak z cebra!

— A więc.. Chwyć się pan gzymsu i wyleź pod dach!

— Pod dach? a to na co?

— Tuż nad mojem oknem o pół piętra wyżej znajdziesz pan małe okienko!.. Tam mieszka Leda...

— Co za Leda?

Pokojówka Zosi!... Zapukaj pan do okna... Leda panu otworzy i będziesz pan w bezpiecznem ukryciu.

Wypchnęła go delikatnie i podczas, gdy sama oczekuje kochanka zatrzymującego się i sapiącego jak lokomotywa na każdej kondygnacji schodów, przez ten czas nieszczęśliwy pan Tadeusz piął się po grzymsie, chwytał się rynien, a będąc niezłym gimnastykiem, dotarł wreszcie do owego zbawczego okienka pod dachem. Zapukał i zawołał przyciszonym głosem:

— Ledo! Ledeczko!

— Co jest?

— To ja!... Otwórz mój aniołku!...

— Pan Tadeusz?!..

Wskakuje przez okno do izdebki oświeconej słabo naftową lampką. Pomimo panującego zmroku, pan Tadeusz zauważył, że lokatorka tego lokalu jest bardzo ładną i apetyczną dziewczyną, jej niewybredny negliż odznaczał się czystością i przejrzystością.

Pan Tadeusz miał ręce zmarznięte, gdy jednak uczynił ruch, jakby chciał je rozgrzać w objęciach Ledeczki — pokojówka cofnęła się nagle i zawołała gromkim głosem:

— Precz!!

Po angielsku.

Anglik wchodzi do coupée, w którym jakaś pani sama siedzi.

— Czy chce pani moją żoną zostać? — pyta zaraz na wstępie.

— Nie — brzmi stanowcza odpowiedź.

— Wery — well! W takim razie możemy bezpiecznie zaraz podróżować.

ooo

Niezręczny.

— Chwała Bogu! No wreszcie! Zaledwie octem udało mi się panią ocucić!

— Jesteś pan głupi! Dla pana już nigdy nie zemdleję!...

ooo

Kradzież całusa przed sądem.

— Czy może pan co na swoją obronę przytoczyć?

— To jest... proszę pana sędziego... ja chciałem tylko moje wargi ukąpać w rosie tych różowych usteczek...

— W takim razie skazuje pana na 5 dni aresztu — *za kąpanie się na zakazanem miejscu...*

●●●



— Co? jak? Co to ma znaczyć?!..

Wielmożny pan nadchodzi!...

— Kto? Mąż twojej pani! mąż pani Zosi?!...

— Tak jest!..

— Kochanek pani Stefci?

— Tak!

— Cóż cię to obchodzi? Przecież on idzie do jednej albo do drugiej!

— Wcale nie!

— Powiedział im, że jedzie do Warszawy!

— Wiem!... Tymczasem jedzie do mnie!

— Pan Tadeusz wyprostował się i spojrzał ze zdumieniem Bo naprawdę zdumieniem go napełniał ten człowiek astmatyczny, którego wizyty spodziewały się trzy niewiasty i z których każda miała widocznie uzasadnione pretensje, czy nadzieje..

— Nie mów dalej ani słowa! — rzekł pan Tadeusz poważnie. — Nie mów mi, że byłabyś zgubioną, gdybym tu pozostał! Nie pytaj mnie, czy nie zapomniałem czego i wskaż mi tymczasem jakie zaciszne miejsce na dachu między dwoma kominami, gdzie przyjemna kotka przyjmie mnie sympatycznem miauczeniem. Bo, być może że jakiś zazdrosny kot wypędzi mnie znowu z mego schroniska!...

Z temi słowy opuścił poddasze i po kilku karkołomnych ekapadach znalazł się znowu na balkonie Deszcz rozpadał się na dobre i pan Tadeusz, szczękając zębami, czekał zmiłowania Boskiego. Bo i czegóż innego mógłby oczekiwać?!

W ten, na jeden raz otwarły się dwa okna balkonowe i jedno z poddasza. Równocześnie zawołały trzy głosy kobiece:

Tadeuszu!... Mój panie!.. —

i trzeci głos:

— Proszę wielmożnego pana!..

Każda z trzech kobiet, które tak niemiłosiernie i na tak brzydki czas i do tego w taką niebezpiecznną drogę wysłały go z domu - trzy owe niewiasty — powtarzamy, każda przy swoich drzwiach, nadsłuchiwały kroków mniemanego kochanka. Na III piętrze kroki ucichły zupełnie, a sprawca ich stracił się gdzieś w dalszych korytarzach olbrzymiej kamienicy. Wszystkie trzy były zatem w błędzie. Tym, który ten hałas sprawiał, był zapewne jakiś kamerdyner mieszkający na poddaszu

I trzy urocze główki ukazały się w otwartych oknach, upatrując tak srodze skrzywdzonego wygnańca.

Nocne wędrówki pana Tadeusza miały bardzo wesołe i przyjemne zakończenie Podczas, gdy małżonek pani Zosi bawi w Warszawie — pan Tadeusz kończy przerwaną her batę w jej buduarze. W towarzystwie ich znajduje się pani Stefcia, a usługuje gościom piękna pokojówka — Leda.





— Wiesz że ci malarze bardzo głupi! Zamiast pisać na obrazie adres modelki podpisują siebie!...

Z teatru.

— Jakto? oprócz twojego fabrykanta masz także tego Jasia?

— Tak — Janek, to mój *dodatek drożyźniany*.

Na sposób nowoczesny.

— Jeżeli pan rzeczywiście mnie kochasz dlaczego nie prosisz o moją rękę?

— Bo niewiem... Czy pani może wyżywić męża?

Podczas jakiejś wycieczki do Kocmyrzowa na dworcu w Grzegórzkach wychyla się nagle z wagonu pewien pasażer i woła do urzędnika ruchu:

— Panie naczelniku! każ pan zatrzymać pociąg, bo tu jakaś pani powiła dziecko!...

— Nic nie szkodzi — uspokaja flegmatycznie pasażera urzędnik — dzieci do lat czterech nie płacą za przejazd!...

Dziedziczność.

— Panie Kohn! Pan ma okropnie krzywy nos. To jest kompromitujące.

Nu! co ja na to mogie!.. To jest podarunek od moich rodziców, ja jego otrzymałem od nich w dniu urodzin.



Z cyklu: „Hocki-klock".

Lato.

Najnieznośniejszą porą roku w Warszawie jest bezwzględnie — lato. Z miljonową stolicą nikt się już poważnie nie liczy, tak jak z repertuarem Teatru Narodowego. Higlif, czyli tak zwana powojenna zdegerenowana śmietanka gorsza od kefiru Sigaliny opuszcza tłumnie Syreni ogród udając się do Zoppot, Zakopanego, Urli względnie do letniej stolicy młodej republiki izraelickiej — którą jest Michalin-siedziba i wylęgarnia plotek artystycznych, literackich i towarzyskich. — Mała Ziemiańska pusta jak głowy radnych miejskich, zieje beznadziejną nudą i splenem. Znikł popularny Bazewicz, który podobno w tych dniach goli wąsy i oddaje ten skarb bezcenny do londyńskiego muzeum. Tuwim i Włast wyjechali do Paryża, gdzie szukają natchnienia do pisania, na premjerach nowych rewji paryskich. Adolf Nowaczyński studjuje w domu podręcznik anatomji, w którym dokładnie jest opisana budowa szczęki ludzkiej. — Mała ziemiańska bez tych panów, to jak p. Balcerkiewiczówna bez mamusi... — Więc cóż robić w tej Warszawie; iść na program do »Wodewilu« to już wolę czytać kazanie Piotra Skargi... ha... pozostaje wyjazd do znajomych na letnisko. Ma się zozumieć Michalin. Przed kasą tłumnie zebrana dziatwa izraelicka, wprowadza wczyn teorję lekko — atletyczną rozbijając się niemiłosiernie. Słychać kwiatki następujące:

— Goldmanówna, weźcie dla mnie dwa bilety!

— Uj, Fajersztaju, nie bądźcie dzieckiem!

— Ala, ty sobie wyobrażasz jak Sabyna się ucieszy, jak was zobaczy!

Dalej, — dziesięcio letni skaut, przyszły podpułkownik hebrajskich szwoleżerów krzyczy rozpaczliwie:

— Druhu drużynowy, Grünsztajn mnie bije!

— Nareszcie jestem w pociągu. Wagon drugiej klasy. Tu jadą polacy wyznania mojżeszowego. Widać w rękach numery »Wiadomości Literackich« i »Wolnych żartów«. Przerywa harmider kolejowy panna Ala, pytając towarzysza który według rysów przypomina potomka starej szlachty jerozolimskiej.

— Co pan mówi o Erenburgu, panie Kielstucie! (Gazeto Poranna, — Dwa grosze — ja ciebie rozumiem!)

Jestem w Michalinie. Na stacji kręcą się roznegliżowane panny. Bose nóżki wyglądają z pantofelków. Wszystkie – moderue, pseudo-pewersyjne, znudzone, - ach jej!

Dobrze, bądźcie perwesyjne, modne, znudzone, ale umyjcie nogi na litość Boską!

Nadjeżdża pociąg z Otwocka. Jakiś czteroletni benben, syn prawdopodobnie właściciela sklepu owoców na Przechodniej, usiłuje przelecieć na drugą stroną. Mamusia zrozpaczona krzyczy:

Benedykt, nie odlatuj na drugą stronę! (Dlaczego Benedykt?

Trochę dalej pouczająca rozmowa:

– Szalek, łap powietrze, tatunia za to płaci!

Zbliżam się do willi moich znajomych. Na pierwszej werandzie, idylla domowego ogniska. Najmłodszego synka rodzice się pytają:

Powiedz Maczeju, kogo więcej kochasz, tatunia czy mamunię?

— Jednakowo! odpowiada nauczone dziecko o spasionym brzuchu i grypie powojenej!

Ha, tu dłużej nie wytrymam, wstępuję do »Rozwoju« na członka rzeczywistego. Opuszczam te siedliska Andrzejów Goldbergów, Jarosławów Eibeszyców, Mieszków Epszteinów i jadę z powrotem do Warszawy. A tu, przemierna nuda jak na posiedzeniach Sejmu ustawodawczego, człowiek dla rozweselenia sią zaczyna czytać poważne artykuły Jana Nepomucena Millera i tak schodzi upalne lato w mijonowej stolicy Polski.

Kazimierz Brzeski.

Perły i róże.

Perle drzemiącej w morskich otchłań spodzie
Musi przemocą być rozdarta koncha —
W cnotliwą różę trzymaną w ogrodzie,
Każdy nos wtyka i dowoli wącha!

Nieraz motyle o skrzydłach barw tęczy,
Burzliwy wicher w sieć pająka zagna
I czysta lilja, co się oku wdzięczy,
Wyrasta zwykle z plugawego bagna!

Nie gorsz się słńcem, że świeci tak rzadko,
Nie pytaj lilji skąd wyrosła ona,
Ni perłv, która każda jest jej matką,
Ni szukaj w róży dziewiczego łona!

Perły – na łono złóż kochanki drżące,
Lilje i róże – niech jej włos przystroją
Pokaż co robią motylki na łące..
Co z nią masz zrobić — jest już rzeczą twoją!



— No, powiedźcie sami
Czy możem ja brzydka
Patrzcie jakie ramię
figurka i łydka

Więc proś na kolację
Gdy jesteś koneser
Popatrz przedtem w górę
Co będzie na deser...

Kawiarnia.

Attention! Madames et messieu!
Już kapelmistrz zaczyna warjować
Duszny przesyt subtelnych L'air-bleu
Skrzypce nagle przestały spazmować.

Jakaś pani wytworna i zła,
W foxtrottowych jedwabnych pończochach,
Rzuca na mnie spojrzenie jak mgła.
Saksofony mkną w spazmach i szlochach.

Dzisiaj wcale pikantne milieu,
Odwiedziło ziemiańską kawiarnię,
Z damskich nóżek przyżądzam filet
I zaczynam przechodzić męczarnie.

Już dostałem podniętę i trans,
Buntownicza wre we mnie pożoga,
Ach panowie i panie silence
Dziś napiszę poemat o nogach!

K. Brzeski.

Dziennikarstwo.

Te tefefony redakcyjne
Korekty, wzmianki i rewizje,
Ten stuk maszyny rotacyjnej
Zecerskie błędy i kolizji.

Ta przymusowa pseudo - twórczość,
Te opłacone z góry rymy
Troją się w oczach mych wygasłych,
W takcie bluesa albo shimmy.

O czytelniczko uporczywa,
Z ustami krwawo — wiśniowemi,
Ach nie uwierzysz chyba nigdy
Jak na tym wielkim świecie źle mi.

Bo muszę pisać aktualje,
Gloryfikując świata burze,
W tedy gdy marzą ekstazerki
I na Rivierze kwitną róże.

K. Brzeski.

„To".



— Ach! — niemasz wprost pojęcia; jakżebym była szczęśliwą, gdybym mogła wykreślić jeden dzień z mego życia.

— Jakto? więc to było w dzień?!..



Komary.

Strasznie biedają ludziska
(Wszak biedać zwyczaj to stary),
Że Kraków klęska dotknęła,
Bo go opadły komary.

Chcąc się przekonać czy żale
Mają pozorną choć rację,
Wyszedłem kiedyś wieczorem
Na rynek i na plantację.

Pragnąc się ustrzedz ukąszeń
Ręką słoniłem swe lice
Lecz i tak gdzieś mnie dostrzegła
Jakaś młoda komaryca.

I choć zmykałem co siła,
Wleciała za mną do domu
I ukąsiła tak silnie,
Że... nie życzyłbym nikomu

Z tąd lekarzowi wciąż muszę
Pieniężne składać ofiary
Jak to wieczorem w Krakowie
Kąsają czasem komary...

Pomogło.

— Cóż lekarz przepisał pańskiej ciotce?...
— Zakopane...
— I pomogło?
— Nie tyle jej, ile nam!... Już ją zakopano, a my odziedziczyliśmy po niej spadek...

Litanja sezonowa.

Jojne Pikelkranz pożycz mi pieniędzy.
Srulu garbaty zlituj się zfolguj z terminem.
Izraelu Ganzpomade obniż procenty.
Hasklu Pomidor zaczekaj do pierwszego.
Salamonie Koperwas daj na kredę.
Pinkwasie wielki dusicielu, nie kompromituj mię licytacją.
Icku niezrównana mądrości lichwiarska — zaczekaj na śmierć mojego wujaszka.
Szyjo ze spiżu ulany zdejmij areszt z pensji.
Bochucku wspaniałomyślny — dodaj jeszcze 100 zł.
Abrachamie wyzuty z sumienia zostaw ostatnią koszulę.
Benjaminie krzywdzicielu młodzieży przyjmij 10 zł. na prolongatę.

⊙ ⊙

Prawdomówna.

— Cóż wy tu robicie — sam na sam — już ciemno, to nie wypada..
— Ależ mamusiu — pan Felek przerabia ze mną geografję z okolic Macedonii..

Troskliwa matka.

— O!.. Ja mojej Frani nie wydam za byle kogo!...
Musi znaleść takiego, który miałby bardzo wysokie stanowisko...
— Ja znam takiego i wiem, że chciałby się ożenić!
— Któż taki, moja pani?...
— Trębacz z wieży Marjackiej...

CENY DROBNYCH OGŁOSZEŃ:

20 groszy za słowo. – Najmniejsze ogłoszenie 10 słów. Przy zamówieniach listownych prosimy należytość załączyć w znaczkach pocztowych, a tekst ogłoszenia w celu uniknięcia pomyłek pisać czytelnie. Zgłoszenia na anons przechowuje Administracja „Bociana" w najzupełniejszej dyskrecji.

Zgłoszenia na anons mogą P. T. ogłaszający się otrzymywać listownie, przyczem należy przesłać znaczek 15-to groszowy.

Administracja zastrzega sobie prawo modyfikowania nadesłanych ogłoszeń, których treść ze względów cenzuralnych nie mogła by zostać wydrukowaną.

Adresować: **Administracja „Bociana" Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.**

OGŁOSZENIA

MŁODY przystojny — ofiaruje pobyt jednomiesięczny w większym letnisku pannie, wdówce itp — młodej, ładnej, subtelnej i spokojnego usposobienia — za pewną sumę wrażeń. Zgłoszenia z fotografią, opisem określeniem granic do Adm. pod »Życie i dyskrecja«.

Redakcja i Administracja „Bociana"
Kraków IX,
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.
Telefon Nr 479
Konto P. K. O. 400-518

Prenumerata:

kwartalna	zł. 3.60
półroczna	zł. 7·—
roczna	zł. 13·—

Ceny ogłoszeń:

cała kol. (w tekście)	zł. 380·—	(w rekl.) 280·—
1/2 „ „	zł. 200·—	„ 150·—
1/4 „ „	zł. 90·—	„ 80·—
1/8 „ „	zł. 50·—	„ 40·—

wiersz milim. jednoszpalt. w tekście 40 gr.
„ „ „ w rekl. 30 „
Za 1 cm. kliszy 15 groszy.